

Rok XV

Nr 3 (141)

Marzec 2001

NA SZLAKU

GÓRY * TURYSTYKA * PODRÓŻE



Aconcaqua to najwyższy szczyt ziemi poza kontynentem azjatyckim o wysokości 6962 m n.p.m., leży on w Ameryce Południowej, a konkretnie w Argentynie i właśnie on był celem naszej wyprawy. Postanowiliśmy szturmować górę od strony wschodniej, tak jak pierwsi polscy zdobywcy z 1934 roku: W. Ostrowski, S. Daszyński, S. Osiecki i K. Jodko-Narkiewicz. Nasi rodacy jako pierwsi pokonali górę od wschodu, stąd też nazwa podszczytowego lodowca – Lodowiec Polaków.

Po długim locie do Santiago i przejechaniu przez Andy do Argentyny rozpoczęliśmy od wykupienia zezwolenia na wspinaczkę w stolicy prowincji Mendocino. Zakupu dokonuje

Następnego dnia ruszyliśmy z karawaną mułów w górę, wiatr jakby przycichł, a widoki w dolinie Vacas były naprawdę przepiękne. Gorąco dało nam się we znaki, a wody nie wzięliśmy zbyt wiele, jednak po dotarciu do obozu Pampa do Lenas na wysokości około 2800 m odbiliśmy to sobie gotując morze herbaty do posiłku.

Kolejnego ranka nasza karawana ruszyła dalej, najpierw muły przeprowiły nas po koleji przez Rio de Vacas, potem zaś dalej posuwaliśmy się w górę rzeki. Nieznacznie się zachmurzyło i prosto w twarz dał (dosłownie) wiatr, tak że w marsz musieliśmy włożyć podwójny wysiłek. Po południu docieramy do na-

wspinamy się ostro w górę, z prawej strony mając wielkie pole penitentów. Jest bardzo ciężko, co chwila obuwamy się w dół w luźnym piargu, tak że do „jedyńki” docieramy zupełnie wykończeni. To 5000 m – spędzamy tu piętnaście minut, zabezpieczamy depozyt i rozpoczynamy odwrót do bazy. Przejście w obie strony zajęło nam około sześciu godzin. W bazie jak zwykle: posiłek, odpoczynek i sen – wieczorem pojawia się trochę wiatru, ale nie jest to słynny „viento blanco”. Następnego dnia powtórzyliśmy wczorajszy schemat tzn. bierzemy następną część ekwipunku i przenosimy do obozu pierwszego. Aklimatyzujemy się dość dobrze, wczoraj wieczorem pojawiły się

WYŻEJ NIŻ KONDORY

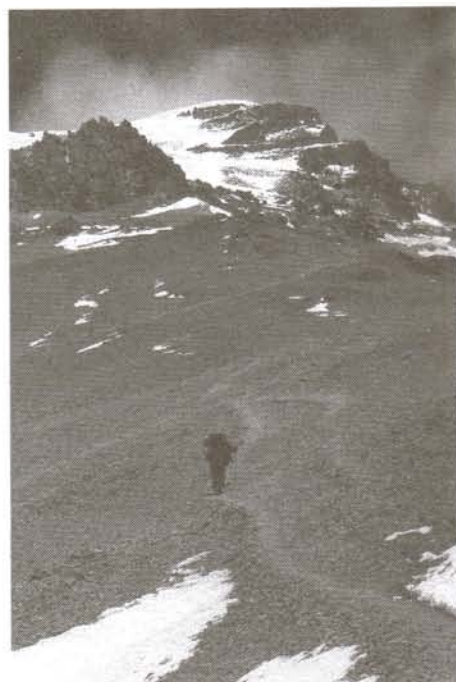
WYPRAWA NA DACH AMERYKI – ACONCAQUA

się w siedzibie Aconcaqua Provincial Park (znajduje się ona w Parku im. Gen. San Martin) i są możliwe trzy rodzaje pozwoleń: trzydniowe na „short trekking”, siedmiodniowe na „long trekking” oraz dwudziestodniowe na „climbing” – my oczywiście wybraliśmy ten ostatni wariant. Następnym naszym krokiem było przemieszczenie się z powrotem z Mendocino do wylotu doliny Las Vacas, gdzie pojechaliśmy po prostu kursowym autobusem, po dojechaniu zaś załatwienie mułów na transport ekwipunku do bazy. I jedno i drugie poszło sprawnie i po południu rozbiliśmy obóz na samym dnie doliny w Punta de Vacas. Nasze muły miały przybyć następnego ranka, więc wędrowaliśmy po okolicy – wiatr hulał wciskając wszędzie unoszący się w powietrzu pył. Spotkana przez nas ekipa schodząca z góry twierdziła, że tam jest tak samo – ich relacja była dramatyczna: – Góra dziesiątkuje ludzi! – mówili. Tylko trzech ludzi z ich ośmiuosobowego zespołu osiągnęło szczyt. Zrobiło to na nas wrażenie, tym bardziej, że wiatr się wzmagał.

stępnego obozu – Casa de Piedra położonego na wysokości 3200 m, przedtem jednak raz jeszcze przekraczamy rzekę – tym razem bez pomocy mułów. Zakładamy obóz dokładnie w wylocie doliny Relinchos. Nasz dotychczasowy poganiacz mułów – Rafael z towarzyszącym mu synkiem zjeżdża w dół, a swoje obowiązki przekazuje Pablo, który właśnie dotarł tu z bazy Plaza Argentina. Pogoda jest nienajlepsza, ale pod wieczór chmury nagle rozstały się jak kurtyna i ukazał nam się widok, który poraził także pierwszych zdobywców: *W ujęciu stromych, biegnących setkami metrów w górę ścian wąskiego kanionu, jak w jakiejś fantastycznej oprawie, zobaczyliśmy wreszcie cel naszej podróży: Aconcaqua. Oblany złotem dogasającego dnia, raz po raz otulany chmurami – zrobił ogromne wrażenie. Panczer lodowy błyszczał jak pochodnia, pionowa zerwa górnych skał, oblana zaciekami lodowymi, wyglądała groźnie i ponuro. Śmiała sylwetka Ojca Gór, oglądana z tej strony, daleko odbiega od łagodnych i kopulastych gór otoczenia* – tak pisał Wiktor Ostrowski w książce „Wyżej niż kondory”.

Rankiem wraz z mułami wkroczyliśmy do kanionu i mozolnie pieliśmy się w górę nieskończoną ilość razy przeprowiając się przez rwący potok. Wyżej kanion Relinchos przerosł się w płaską, pociętą jarami dolinę, bardzo łagodnie wznosząc się do stóp Aconcaqua. Tam właśnie na wysokości 4200 m położona jest baza Plaza Argentina. Planowaliśmy zrobić tam jeden dzień odpoczynku, lecz ze względu na dużą ilość ekwipunku i sprzyjającą pogodę, postanowiliśmy wyruszyć od razu następnego dnia do obozu I na wysokość 5000 m. W Plaza Argentina było sporo namiotów, strażnicy parkowi, a nawet lekarz. Pogoda się ustabilizowała, było bezwietrznie i zadziwiająco, jak na taką wysokość, ciepło. Zmęczeni podejściem i mając na uwadze dzień następny położyliśmy się wcześniej spać.

I znowu następnego dnia spakowaliśmy część ekwipunku i teraz już bez pomocy mułów rozpoczęliśmy wspinaczkę do obozu I. Do wysokości 4700 m droga była prosta i niezbyt stroma – posuwaliśmy się po lodowcu Relinchos, który jest pokryty grubą warstwą piargu. Później doszliśmy do skalnego progu i stąd



Aconcaqua z przeł. Ameghino-Aconcaqua

tylko niewielkie bóle głowy. I znowu ten sam piarg daje nam popalić, chwila odpoczynku przy depozycie i jeszcze raz odwrót. Kolejnego dnia cała nasza ekipa przenosi się do „jedyńki”. Mimo tego, że aklimatyzowaliśmy się przez ostatnie dwa dni, znowu wieczorem miałem punę – czyli objawy choroby wysokogórskiej. Następnego ranka ponownie w górę, a ponieważ nasza forma nie jest najlepsza dotarliśmy tylko do przełęczy na wysokości 5400 m pomiędzy Aconcaqua i Ameghino – tego dnia tylko dwie osoby osiągnęły obóz drugi na wys. 5900 m. Na kolejne podejście wyruszamy z mocnym postanowieniem, że zostawimy depozyt w „dwójce”, jednak wiatr na przełęczy jest tak silny, że wyrwca nas razem z plecakami. Przeczekujemy przez godzinę schowani za skałą w nadziei na poprawę pogody, ale wiatr się wzmagają, więc po raz drugi zostawiamy depozyt na przełęczy i schodzimy skokami w dół, kładąc się przy silniejszych podmuchach. I zaczęło się – prawdziwy „viento blanco” nas dopadł, popołudnie, noc i następny dzień wiało i



Penitenty lodowca Relinchos



Schowany w skałach obóz II – 5900 m

rzucało namiotem na wszystkie strony, a niesiony wiatrem śnieg wciągał nas przywalał. Spędziliśmy ten czas zaszyty w śpiworach, to śpiąc, to gotując, czy „enty” raz czytając jedyną posiadaną książkę i gazetę (krążyła między namiotami) – tylko konieczność odgarnięcia śniegu wyganiała nas od czasu do czasu z namiotu. Po drugiej nocy wiatr ucichł, wyszło słońce, więc wygramoliliśmy się z namiotów. Góry zmieniły szatę na śnieżną. Zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy w kierunku dobrze nam już znanej przełęczy, zamierzając przenieść się do obozu drugiego. Do przełęczy doszliśmy bez przeszkód, pozostawiliśmy nasz depozyt (wrócimy po niego jutro), reszta ekipy była jeszcze sporo niżej. Pokonywanie wysokości szło nam bardzo mozolnie i w „dwójce” byliśmy około szesnastej. Tuż po tym nastąpiło kolejne załamanie pogody – znowu zaczęło wiać i śnieżyć. Szybko rozbiliśmy namiot i padliśmy wyczerpani, do obozu dotarł jeszcze jeden członek naszej ekipy. Niefortunnie rozdzielił się on namiotem ze swoim partnerem (osobno stelaż i płachta), więc przygarnęliśmy go do naszego namiotu. Na szczęście do rana znowu się wypogodziło i zaraz po śniadaniu zeszliliśmy ostatni raz na przełęcz zabraw depozyt. Po drodze spotkaliśmy resztę zespołu – okazało się, że pogoda zmusiła ich do nocowania na przełęczy – drugą noc spędziliśmy w „dwójce” już w komplecie. Następnym dniem to przetransportowanie depozytu trawersem do obozu trzeciego – Białe Skały na wysokości 6000 m na drodze normalnej. Po powrocie jeden z członków wyprawy, a mianowicie Irek Hebda postanowił zaatakować szczyt z obozu drugiego trawersem do drogi normalnej – fałszywą drogą Polaków, a następnie drogą normalną przez Independencję na szczyt. Pozostała część zespołu w tym czasie przeniosła obóz do „trójki”, wieczorem zaś dołączył do nas Irek po udanym ataku szczytowym. Przed nami atak szczytowy – już następnego ranka. W nocy zerwał się wiatr, a my rankiem mimo wszystko wyruszyliśmy w górę, jednak nie dotarliśmy nawet do Independencji (schron na wys. ok. 6400 m) i byliśmy zmu-

szeni zawrócić. Ryszard Pawłowski ze swoim zespołem także zawrócił owego dnia. – Nie ma sensu ryzykować – mówił – wiatr chce urwać głowę. Niepocieszeni zawracamy i zaszywamy się w namiotach w oczekiwaniu na poprawę pogody. Następnego ranka ten sam schemat, wyruszamy o ósmej i przez Independencję drogą normalną pniemy się powoli w górę – na

szczęście wiatr nie jest zbyt silny i po 8-9 godzinach, pokonując jeszcze z olbrzymim wysiłkiem słynny żleb Canaletta (to tutaj rozegrała się w 1944 roku tragedia dziewięcioosobowej wyprawy Georga Linka, z której cztery osoby zginęły właśnie na tej drodze), docieramy na szczyt Aconcaqua 6962 m n.p.m. Na szczycie stanęli: Jan Dubianik – Kędzierzyn Koźle, Marek Hofman – Warszawa, Jan Jagielski – Jelenia Góra, Krzysztof Lisowski – Opole (kierownik wyprawy), Adam Kutny – Straszyn k/Gdańska, Maciej Świątkiewicz – Wrocław oraz Waldemar Witczak – Wrocław i łącznie z Irikiem Hebda szczyt osiągnęło 9 z 10 osób naszej wyprawy. Ze szczytu schodzimy w rozsypanie, ale w kontakcie wzrokowym, ostatni z nas do obozu dociera już w ciemnościach. Jedna osoba ma lekkie odmrożenia palców stóp – po za tym obeszło się bez strat. Teraz pozostało już zwinąć obóz i zejść do bazy Plaza de Mulas na wysokości 4200 m (zaplanowaliśmy zejść inną drogą), gdzie przez dwa dni odpoczywamy i regenerujemy siły, a następnie ruszamy dalej przez Confulencję do Punta del Inca – wioski słynnej z naturalnego, skalnego mostu nad Rio Las Cuevas, a położonej przy Ruta Nacional no. 7 – drodze do Mendoza.

Wyprawa była przygotowana i prowadzona przez Agencję Trekkingową Everest z Opola.

Tekst i zdjęcia: Adam Kutny



Widok ze żlebu Canaletta, ok. 6600 m